

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXIII

WARSZAWA, DNIA 24 STYCZNIA 1931 ROKU

NR. 4

ANDRZEJ STRUG

4) OSTATNI FILM EVY EVARD

Gdy w górze zdaleka zawarczy po nocy niewidzialny motor, za każdym razem na pierwszy jego odgłos gasną ostatnie skąpe światełka ślepych laterek, kolumny przystają, jak wryte. Zamiera ruch na torach kolejowych, na gościńcach, na polnych drogach, na ścieżynach. Armja nocy dba o swoją tajemnicę, bo w tej tajemnicy — zwycięstwo.

Tak noc po nocy wypelzają z ukrycia setki tysięcy ludzi, odbywają swoją drogę i kryją się w ciągu dnia, śpią, odpoczywają. Przemyślnie, chytrze maskują się. Staje się cud, że znikają dla oka obserwatorów nieprzyjacielskich nieskończone ich tabory, tysiące dział. Właśni lotnicy krążą w ciągu całego dnia, czuwając nad ścisłym wypełnieniem rozkazu: — Zniknąć! Nie być!

Za dnia na dalekich tyłach linje kolejowe, stacje węzłowe i przystanki są opuszczone i senne. Dopiero ze zmierzchem nadchodzą pierwsze pociągi, które czekały gdzieś w przestrzeni na tę chwilę i po nocy i przez całą długą noc marcową wre praca wysilona w gorączkowym pośpiechu. Co noc setki pociągów wyładowują na wszystkich stacjach ludzi, konie, nieprzebrany materiał bojowy. Z głębi kraju, z dalekich punktów koncentracyjnych, z kadr, z obozów wyszkolenia, z koszar rekruckich, ze szpitali, z urlopów napływa powodzią szara masa żołnierska, gnana rozkazem, i wsiąka w noc, wsiąka w przestworze ziemi francuskiej.

Idą z ochotą, idą z tępą rezygnacją, idą z przekleństwem w duszy.

I ci, co zachowali zdrowie i siły, i ci zdręceni i wyczerpani, którzy trzymają się na nogach jedynie niemiłosiernem, stalowem wejrzeniem oficera.

I ci, którzy po wielekroć przeszli już wszystko, i ci, którzy wyruszają po raz pierwszy i nic jeszcze o wojnie nie wiedzą. Idzie najmłodszy przedwczesny rocznik, ci, których matki, wyprawiające mężów na bój w roku czternastym, dziękowały Bogu, że synkowie są jeszcze za mali i że wojna obędzie się bez nich. Ale i oni doczekali się swojego dnia chwały. Młodzieńcze, cienkie, nawpół dziecięce głosy wyśpiewują w nocnym marszu ochocze piosenki, starzy żołnierze wtórują im głuchem milczeniem.

Zresztą, kto wie.

I za tym razem obiecywano, że to bój już ostatni, nieodwołalnie rozstrzygający. Wmawiano w nich w rozkazach dziennych, w pouczeniach urzędowych, w czytankach, że nigdy jeszcze armja niemiecka nie rozporządzała tak olbrzymią masą uderzenia, ani tak potężnym materiałem bojowym. Powiadomiono ich,

że w ataku weźmie udział dziewięćdziesiąt dywizyj, a sześć tysięcy pięćset armat, trzy tysiące siedemset miotaczy min oszczędzą piechocie strat i wyręczą ich w dużej mierze. To była prawda. Jeszcze nigdy w dziejach tej wojny nie miały Niemcy takiej swobody ruchów, gdy odpadła Rosja, gdy zmiażdżona jest Rumunja, a Włochy aż do końca nie dźwigną się po jesiennej klęsce pod Caporetto. I to wszak prawda...

Nieprzyjaciel będzie najzupełniej zaskoczony. Dzięki zabiegom Głównej Kwatery i demonstracyjnie nieukrywany poczynaniom i przygotowaniom na innym odcinku spodziewa się on natarcia gdzieindziej i tam podciągnięte są jego główne rezerwy. Jedno uderzenie całą siłą niemieckiej żelaznej woli, niemieckiej żelaznej pięści i droga do Paryża będzie otwartą. A Paryż — to zwycięstwo, koniec wojny i... o, słowo nie do wyblągania, nie do wyrozumienia, słowo nie do wiary — pokój...

W pogwarze głosów, w pomroce nocnego marszu, w ściśniętych kolumnach wierzący przekonywali sceptyków, młodzi starych. I im bliżej byli frontu i trzeciej pozycji okopów, od której zaczynała się strefa bojowa i pas koncentracji wszystkich sił ofensywy, tem bardziej ugruntowywało się jednak w żołnierzach dopuszczenie myśli o ostatecznem zwycięstwie.

Kiedyż, na Boga, miało ono nastąpić, jak nie teraz, w czwartym roku wojny?

Kiedy wydarte i rzucone są w grę ostatnie siły i zasoby narodu, jego ostatnia krew?

Kiedy nie dalej jak za parę miesięcy stanie na froncie milion amerykańców?

Kiedy głód, nędza i rozpacz toczą nieszczęsne plemię niemieckie?

Kiedy wytrzymać i znieść tego, co jest, już niepodobna?

Z rozpaczki budziła się wiara. Rozumiał każdy i rozumieł wszyscy, że za tym razem muszą zwyciężyć. Innego ratunku niema. Jeszcze raz w rozterce, w udręczeniu duszy, w wyczerpaniu reszty sił trzeba okazać moc wytrwania, trzeba wydobyć ze siebie męstwo. Chwilami zrywał się w masie nawet zapł.

Pewnej nocy, gdy ściśnięte kompanje piechoty odrabiając swój forsowny etap brnęły w deszczu i błocie, od czoła kolumny zaczęto wołać — „prawa wolna!”

W szeregach zagadano, zaszeptano.

— Feldmarszałek!...

— Nasz stary!...

— On sam!...

Od przodu czołowych kompani pułku zrywały się okrzyki. Bokiem drogi zwolna posuwał się samochód bożyszcz narodu — naczelnego wodza. Po obu stronach na stopniach maszyny stali żołnierze z kagańcami. Mijały go czwórka za czwórką, z pod głębokich hełmów łyskały ku niemu zapatrzona oczy. Głos głęboki, dobroduszny, ojcowski.

— A dokąd to idziecie, chłopcy?

— Do Paryża, Excelencjo! — wyrwał się któryś z najmłodszych.

— Nach Paris! Nach Paris!!

Zagrzmiały kompanje w uniesieniu, w zapomnieniu wszystkich trudów, cierpień, zawodów, jakgdyby zamałyły się im czasy.

Tak wołali, idąc w wielkie boje na tej ziemi francuskiej nad Sommą, tak wołali we Flandrii, w Szampanji, pod Verdun.

Tak samo wołali ongiś, pradawno, może przed stu laty, może na jawie, może w obłąkanych snach — gdy po raz pierwszy parli naprzód wiosną tej wojny — w roku tysiąc dziewięćset czteremnaście.

— — — — —
— — — — —
— — — — —

Dopiero o godzinie trzeciej po południu ukazał się komunikat Ministerstwa Wojny, wyjaśniający zagadkę bombardowania stolicy. Przez pół dnia najprzedniejsi specjaliści armji francuskiej twierdzili jednomyślnie, że pociski idą z powietrza i że absurdem jest przypuszczenie, jakoby mogło istnieć działo, którego efekt sięgałby z linii niemieckich aż do obwodu miasta Paryża.

Dowództwo wojsk lotniczych przeczyło temu kategorycznie. Najgórniesze osiągalne strefy atmosfery były wolne od aparatów nieprzyjacielskich w tym samym czasie, gdy padały pociski. Lotnicy dokonywali cudów, wznosząc się całymi eskadrami, walcząc z wyżywnym rzadkiem powietrzem i przekraczając o setki i tysiące metrów maksymalny pułap dopuszczalny dla ich aparatów oraz i dla wytrzymałości organizmu ludzkiego. Nigdzie nie można było wykryć śladu aparatów nieprzyjacielskich, a pociski padały na miasto regularnie co 15 minut.

Okolo południa wśród uczonych artylerzystów dokonał się rozłam i po południu przeważała już partja szaleńców, którzy wbrew zdrowemu rozsądkowi dopuszczali istnienie działa i pocisku, donoszących na 125 kilometrów. Ci upierali się przy swoim, nie pomni na niezłomne prawa balistyki, na granice działania środków wybuchowych, na granice wytrzymałości najcięższego działa i wszystkich kombinacji stopów brązu i stali. Praw wiedzy i logiki broniła przeciwko nim opinia rzeczoznawców metalurgów i konstruktorów z zakładów Creuzot, którzy w toku wojny dokonali epokowych odkryć i wynalazków i sprawili, że artylerja francuska stała się pierwszą na świecie.

Monstrualne działo niemieckie pozostało nadal teoretyczną i techniczną niemożliwością, jednak dwudziestocentymetrowe pociski jego wybuchały nadal we wszystkich dzielnicach Paryża. Był to fakt brutalnej rzeczywistości, trudny do zaprzeczenia.

Szkody i straty w ludziach były narazie niewielkie, ale panika wzrastała. Nadewszystko przerażała fantastyczność owej niewiarogodnej „Berty” i metodyczna uporczywość jej działania.

Na początek strzelają rzadko, a nuż otworzą —

kto ich wie — huraganowy ogień na Paryż i stolica Francji legnie w gruzach?

Kto im zabroni zasypać miasta pociskami gazowymi — swoim Żółtym Krzyżem, który dusi i żre ciało do kości? Błękitnym, Zielonym Krzyżem, od którego nie bronią żadne maski?

Jak zaopatrzyć całą ludność w ubrania nieprzenikliwe, w maski chronne?

Może to tylko ostrzeżenie? Może nastąpi jakieś horrendalne ultimatum, godne Hunnów?

Uciekał, kto mógł. Dworce i przyległe ulice zapchane były tłumem rodzin bogatych, zamożnych i dostatnich, czekających swojej kolei i, pomimo surowej kontroli i wielkiego pogotowia policji, zrywających się do szturmów odchodzących pociągów. Ludzie ubodzy, ludzie przytwierdzeni do miejsca musuem życiowym, zanim po ludzku przywykli do nowego nieszczęścia i oswoili się z Grubą Bertą, przesiadywali po piwnicach, a nadewszystko uciekali z górnych pięter.

W szerokich masach ludności stolicy strach przed Bertą osłabiał wrażenie ofenzywy. Zresztą, wymierzona ona była wyłącznie przeciwko frontowi angielskiemu... Zresztą w komunikatach Wielkiej Kwatery, które ukazywały się po dwa razy dziennie, nie było jeszcze nic zatrważającego... Zresztą, Niemcy byli jeszcze daleko i parli wyraźnie na zachód... Zresztą po ulicach roilo się od żołnierzy amerykańskich, a gwiazdzisto-pasiaste chorągwie powiewały wszędzie...

Dopiero gdy na szósty dzień walki poranny komunikat ogłosił wzięcie Noyon i zagrożenie linii Oise'y, przez miasto przebiegł dreszcz trwogi. Noyon — to droga do Paryża! Przyszły pogłoski o doszczętnem zbombardowaniu Wielkiej Kwatery w Compiègne. Spłonęły najważniejsze mapy i plany, bez których nie można prowadzić oporu... Połowa Głównego sztabu zginęła, reszta ranni... Któż będzie kierował walką... Wreszcie — Pétain zabity. Władze kompetentne zaprzeczały wszystkiemu, ale wszak tak bywało zawsze...

Tego samego dnia od Gare du Nord przez Bd. Strasbourg, przez Bd. Sebastopol, przez oba mosty, przez Bd. St. Michel, przez cały Paryż aż do Mont Rouge przeprowadzono ogromną kolumnę kilku tysięcy jeńców. Widok przeciągającej ulicami takiej masy pokonanego, pojmanego, porwanego wprost z pola walki wroga sprawił, wedle raportów urzędowych, doskonałe wrażenie i odrodził psychikę w masach ludności. W pewnej mierze było to słuszne, tem bardziej, że konwój jeńców oraz kordony policji idące gęsto po obu stronach kolumny pilnowały doskonale, ażeby nikt z tłumu gapiów nie zagadał do nich ani słowa. Ale w okolicach Hal Centralnych jakaś Madame Angot, urodzona snąc w prowincjach zabranych, zdołała parokrotnie zaczepić w przemarszu Boszów w ich rodowitym języku. Odszczekując się policjantom i żołnierzom konwoju, pytała uporczywie:

— Gdzie was wzięli?

Bosze przeważnie milczeli, ale od czasu do czasu z kolumny padała odpowiedź.

— Gdzie was zabrali?

— W Argonnach...

— Soissons...

— Verdun...

— Chemin des Dames...

— Verdun...

(D. c. n.).